GŁOS

LITERACKI I SPOŁECZNY.

NIEDZIELNY BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU NARODU“.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI

Nr. 19. Kraków, dnia 12. maja. 1901.

Ferdynand Hoesick.

Napoleon I. i Józef Elsner.

(Kartka z pamiętników Elsnera).

Począwszy od roku 1795 pozostawała Warszawa, jako miasto prowincyonalne, pod panowaniem pruskiem. W mieście, jak i na całem Mazowszu i w Wielopolsce, aż po Kalisz i Poznań, rządzili *Landraci* i *Stadtraci*, pierwsi po powiatach, drudzy po miastach. W Warszawie, w zamku królewskim, ordynował Koehler, który zresztą, jako przedstawiciel władzy Fryderyka Wilhelma, cieszył się opinią człowieka „łagodnego i wyrozumiałego“; ale ponieważ o innych urzędnikach pruskich powiedzieć tego nie było można, więc nie pozostało to bez wpływu na zewnętrzną postać Warszawy. „Po ulicach głucho, a jeżeliś usłyszał mowę ludzką, to jedynie *szwargot* niemiecki. Tylko przy straganach na Starem Mieście i w Bramie Krakowskiej przy Zamku Królewskim, gdzie siedziało dzielne a junacze plemię przekupek warszawskich, od czasu do czasu usłyszałeś energiczne wyrażenia polskie rozgniewanej pani straganiarki, a każdej z nich Niemcy się bali, bo tęgo w uniesieniu policzkowały i tarmosiły potężnie za czupryny. Nie powstrzymywały ich od tego *sztrafy,* jakie płacić musiały, a bijąc Niemca, powtarzały ulubione stare przysłowie: „Zabiję, zapłacę!“ Do zabójstw wprawdzie nigdy nie przychodziło, ale do bijatyki często, poczem wydawać musiały z kieszeni talarki. Z uśmiechem i zadowoleniem płaciły je chętnie, pocieszając się słodkiem przekonaniem, iż porządnie Niemca wyczubiły“. *)

Stan taki trwał aż do roku 1806, aż do słynnej bitwy pod Jeną, w której Napoleon pobił na głowę Prusaków, zajął Berlin, zniósł potęgę Prus.

Gdy wieść o tem doszła do Warszawy, w jednej chwili nastąpiła zmiana nastroju wśród społeczeństwa polskiego. Kto w tych czasach zawitał do Warszawy, *mógł* doznać *całkiem* identycznego wrażenia, jakiego w tę samą porę doznał Mickiewiczowski Bartek, poseł, kiedy w parę dni po pamiętnej klęsce Prusaków przyjechał do Poznania;

Przybiegł po nas posłaniec od pana Todwena,
Grabowski list przeczytał, krzyknął: „Jena! Jena!
Zbito Prusaków na łeb, na szyję. Wygrana!“
Ja z konia zsiadłszy, zaraz padłem na kolana,
Dziękując Panu Bogu... Do miasta jedziemy
Niby dla interesu, niby nic nie wiemy,
Aż tu widzimy: wszystkie Landraty, Hofraty,
Komisarze i wszystkie podobne psubraty
Kłaniają się nam nizko, każdy drży, blednieje,
Jako owad prusaczy, gdy wrzątkiem kto zleje.
My śmiejąc się, trąc ręce, prosim uniżenie
O nowinki; pytamy, co słychać o Jenie?
Tu ich strach zdjął, dziwią się, iż o klęsce owej
Już wiemy; krzyczą Niemcy: „*Achary Got, o wej*!“
Spuściwszy nos, do domów, z domów dalej w nogi...
Oto był rwetes! Wszystkie wielkopolskie drog
Pełne uciekających. Niemczyska, jak mrowie,
Pełzną, ciągną pojazdy, które lud tam zowie
Wageny i fornalki; mężczyźni, kobiety,
Z fajkami, z imbryczkami, wleką pudła, bety,
Drapią jak mogą!...

To samo, na wieść o zbliżaniu się Napoleona z całą armią, działo się w Warszawie. W ciągu paru dni „Landraty, Hofraty, komisarze“ opuściły stolicę, a dnia 19 grudnia byli już Francuzi i Napoleon w Warszawie...

Gdy zapowiedziano przybycie Napoleona do Warszawy, Józef Elsner, ówczesny dyrektor opery polskiej *Teatru Narodowego,* skomponował do libretta Ludwika Osińskiego operę alegoryczną w jednym akcie p. t. „*Andromeda*“, w której Perseusz, uwalniający od smoka Andromedę, był przejrzystą aluzyą do cesarza, uwalniającego Warszawę od Prusaków. „Akt niby drugi tej opery stanowiła kantata, zastosowana do przybycia Napoleona, a przeznaczona do powitania go odśpiewaniem onej“.

*) K. Wł. Wójcicki, Warszawa, I, 4.

Wojna Anglo-Boerska.



Młody żołnierz opowiada inwalidom swoje przygody.

W pozostałych po Józefie Elsnerze, a nie wydanych *Pamiętnikach*, odbił się ten pobyt w roku 1806 Napoleona w Warszawie w następujący — wielce charakterystyczny sposób.

Z tej strony nikt jeszcze dotychczas wielkiego „boga wojny“ nie przedstawił:

„Gdy doniesiono cesarzowi Napoleonowi, że na jego przybycie napisana była wspomniana opera i kantata, kazał ją po raz drugi powtórzyć w pierwszą niedzielę po Nowym Roku 1807-ym. Jakoż przed rozpoczęciem kantaty, cesarz ukazał się z orszakiem w teatrze, a lubo on sam i osoby z nim przybyłe, z małym wyjątkiem, nie rozumiały po polsku, pozostał jednak do samego końca kantaty.

Nazajutrz rano po przedstawieniu, raczył cesarz przysłać teatrowi przez adjutanta swego 600 napoleonów w złocie, z której to sumy, ani ja, jako kompozytor muzyki, ani Osiński, twórca wierszy, nic wcale nie otrzymaliśmy, chociażby tylko po jednej sztuce na pamiątkę: więcej powiem, że lubo spodziewaliśmy się skutku wspaniałomyślnej hojności cesarskiej, nie wiedzieliśmy nawet, że ta miała mjejsce. Dopiero we dwa lata później, w roku 1809, w pewnem zgromadzeniu dowiedziałem się przypadkiem o darze cesarza z ust pana *Alexandre*, przedsiębiorcy ówczesnego francuskiego towarzystwa dramatycznego.

„Podczas bytności Napoleona w Poznaniu pospieszyli też i z Warszawy niektórzy możni panowie polscy dla połączenia się tam z deputacyą do cesarza. Kiedy byli przyjmowani, zapytał między innemi Napoleon hrabiego Gutakowskiego: *Avez vous aussi des peintres et des musiciens!*“ Nieprzygotowany na takie zapytanie, hrabia odpowiedział: *Oui, Sire: Monsieur Bacciarelli et Moeller*“ zamiast Elsner (Moeller zaś było nazwisko dawnego oficera polskiego). Hrabia Gutakowski, po powrocie do Warszawy, przepraszał mnie bardzo za tę omyłkę i opowiadał mi o swem podwójnem zmieszaniu, gdy naprzód zamiast nazwiska mego w prędkości z roztargnieniem wymówił *Moeller*, a następnie zaś, gdy cesarz, słysząc to nazwisko zamiast mego, zamyślił się i jak gdyby szukał czegoś w swej pamięci.

„Jakoż istotnie, gdy bawiłem w Paryżu podczas artystycznej mej wędrówki w roku poprzedzającym odbytej, szczyciłem się przyjaźnią pierwszego cesarskiego kapelmistrza, pana Lesueur'a, któremu podobało się upatrzeć we mnie tyle geniuszu (niewątpliwie więcej niż zasługiwałem), że mnie usilnie namawiał, bym w Paryżu pozostał i osiadł. Że zaś zwykł mnie nazywać podobnie jak wszyscy niemal Francuzi, Elseneur, zamiast Elsner, w taki też sposób wymienił moje prawdziwe nazwisko cesarzowi, mówiąc z nim o mnie, jako Polaku.

„Podróż moja, którą przedsięwziąłem, miała na celu jedynie naukę, i poznanie osobiste bohaterów sztuki muzycznej; nie miałem przeto żadnych polecających mnie listów we względzie artystycznym, prócz pisma od hr. Łubieńskiego (niegdyś ministra sprawiedliwości za czasów Księstwa Warszawskiego) do posła pruskiego w Paryżu, hr. Luchesini i drugiego do nauczyciela fortepianu, Lenza, brata Henryka Lenza, który był w Warszawie wiolonczelistą. Ten ostatni przesłał już dawniej bratu swemu, z muzycznego mego dziennika, kilka małych Rondo a la Krakowiak i mazurków mojego utworu, które się w Paryżu niezmiernie podobały i przez publiczność, jako rzecz w nieznanym a nowym rodzaju, z wielkim zapałem przyjęte były, co spowodowało Lenza, że własnym kosztem je na nowo wydał i w kilka tygodni rozprzedał. Tenże Lenz w Paryżu wprowadził mnie do sławnego ówczesnego harfisty Naderman'a, przyjaciela p. Lesueur'a. U niego to poznałem tyle uwielbianego twórcę opery „Bardowie“ i kapelmistrza cesarskiego, p. Lesueur'a, którego droga dla mnie przyjaźń nigdy z pamięci i serca mego nie wyjdzie. Gdy na zapytanie jego, czylibym miał do którego z kompozytorów paryskich list polecający, odpowiedziałem, że żadnego nie mam, a następnie, pytając go, czyby nie chciał, zamiast pisma polecającego, przyjąć odemnie do przejrzenia partycye małej opery mego utworu? „Z największą chęcią“ odrzekł. Posłałem mu nazajutrz partyturę opery „Mieszkańcy wyspy Kamkatal“, podłożywszy na prędce tekst francuski pod polskim, li tylko dla dania pojęcia myśli moich muzycznych w zastosowaniu onych do położeń i uczuć słowami wyrażonych. W kilka dni potem odebrałem za pośrednictwem Naderman'a, bilecik od p. Lesueur'a zapraszający mnie na obiad w Passy, podczas którego wypowiedziawszy mi wiele pięknych i pochlebnych pochwał o moim utworze, przepowiadał mi, że z czasem ustanowię epokę w zawodzie muzyczno-kompozytorskim. Następnie pozyskiwałem coraz większą jego przyjaźń tak dalece, że tem więcej jeszcze namawiał mnie do pozostania w Paryżu, obiecując mi wszelką możliwą pomoc swoją. Namawiał mnie także i generał Wołowicz, lecz słowo, dane Bogusławskiemu, jako też rozpoczęcie wojny, dla której żona moja szczególnie domagała się powrotu mego, nie dozwoliły mi uledz tym silnym namowom i na ten raz opuściłem Paryż, obiecując sobie wszakże znowu go po latach kilku nawiedzić. Niestety! stać się tak nie miało i nie mogło, lecz w oddaleniu nawet pozostał mi Lesueur przyjacielem, a ja prawdziwym jego czcicielem. W częstych listach do mnie zwykł był powtarzać dawniejsze o mojej przyszłości przepowiednie i do śmierci nie przestał żywić nadziei oglądania mnie w Paryżu, a każdego poleconego mu przezemnie, jakby swego lub mego brata z największą przyjaźnią przyjmował. Tak też byli przez niego przyjęci pp.: Lafontaine, doktor, Kurpiński, kapelmistrz, a nawet tancerka, Palczewska, przez którą posłałem mu kilka utworów muzycznych. Wieczny pokój niechaj mu będzie, artyście, przyjacielowi, aż do spotkania się na tamtym nieznanym świecie, kiedyś, jak się Bogu Najwyższemu podoba!

„Że domysł przytoczony hr. Gutakowskiego w rozmowie jego z cesarzem Napoleonem co do pomyłki nazwiska mego był uzasadniony, dowodzi zapytanie Paër'a, kapelmistrza (który z żoną i tenorzystą Brici wprost z Drezna do Warszawy przybył dla dyrygowania koncertami zamkowemi w czasie pobytu cesarza w naszej stolicy) czybym nie życzył sobie wstąpić do orkiestry Jego Cesarskiej Mości? — na które to pytanie odpowiedziałem mu, że jakkolwiek odznaczenie mojej osoby uważam za nader pochlebne dla siebie, gdyż Paryż posiada bardzo wiele równych mojemu talentowi, to przecież przy dzisiejszych okolicznościach, kiedy Warszawa nie posiada drugiego dyrektora opery, a sama opera powołaną być może do wyższych dążności i przeznaczenia, opuścić jej nie mogę, bo właśnie tylko co powstała, mogłaby więc i musiałaby na nowo upaść. Po tej odpowiedzi nie byłem już więcej w tym przedmiocie zapytywany, lecz tylko wezwany do zaopatrzenia koncertów w instrumentalne towarzyszenie, w których sam współdziałałem jako pierwszy skrzypek.

„Paër zawarł ze mną układ: aby w dniach koncertów nie przedstawiano oper w teatrze, na co się i Bogusławski chętnie zgodził. Następnie spisaliśmy umowę, że za każde dwie zwykłe próby i koncert, dostać miał każdy użyty do nich artysta orkiestry jednego napoleona złotem, a ja trzy. Takich koncertów odbyło się cztery.

Był wtedy w Warszawie niejaki de Santis, nauczyciel śpiewu, tenorzysta, pozostały z opery włoskiej, sprowadzonej tu jeszcze za czasów pruskich, a którą opera polska zupełnie zabiła. Otóż ów de Santis zamówiony był także do śpiewu w ostatnim zamkowym koncercie, podczas którego między nim i Paër'em zaszła komiczna scena. Każdy koncert składał się zwykle z krótkiego *allegra* symfonii jakiej, następnie z trzech sztuk śpiewu. Cesarz Napoleon zwykł wychodzić z przyległych apartamentów do sali koncertowej, skromnie ubrany, bez wstęgi, tylko z krzyżem srebrnym legii honorowej na piersi, w trzewikach i pończochach białych, brał program z rąk Paër'a i siadał w swym fotelu w pewnej odległości na przeciwko fortepianu stojącym. Przy końcu ostatniego śpiewu Paër stawał obok fortepianu na znak, że się koncert ma ku końcowi. Przed ukazaniem się cesarza w sali koncertowej, wyżsi oficerowie z orszaku i generałowie zbliżali się do fortepianu i rozmawiali z Paër'em i śpiewakami, minister zaś Talleyrand z panią Paër. Właśnie było to w chwili, kiedy de Santis miał ze sztuką śpiewu występować. Nawiasem mówiąc, o nic on nigdy, prócz lekcyi swoich, się nie troszczył i o niczem prócz o kasie swej nie myślał, a do tego nigdy ciekawym nie był widzieć tyle wsławionego Napoleona; to też cesarza nie znał. Za otwarciem się bocznych drzwi, Napoleon wystąpił z pośród otaczających go a orderami i gwiazdami okrytych generałów i ministrów, dla odebrania programatu koncertu a następnie zbliżył się do Santis'a, o którym już poprzednio Paër cesarzowi mówił i temi słowami się go zapytał: „*Siete Napolitano?*“ Santis, sądząc ze skromnego ubioru Napolena, że to

---

16 **MATCE RZECZYPOSPOLITEJ.**

POWIEŚĆ MIESZCZAŃSKA.

Ze starych dokumentów wypisał LUDWIK STASIAK.

Ciąg dalszy.

Górnik męczy się okropnie, a burmistrz za stołem dławi w piersiach płacz.

— Gdzie schowaliście bracką kasę?

— Nie wiem.

— Nie wiesz? Hola! Żagwi!

Przyniesiono rozpaloną żagiew, a żołnierz jął przypalać boki Zwiłkłego.

— Gdzie pieniądze?

— Nieodpowiada, bo stracił przytomność.

— Za mocno zaciśnięto korbę.

Zdjęto Zwiłkłego a na torturę związano Ocipkę. Gdy naciągnął się wałec i kości zatrzeszczały w stawach, zapytał go IMPan Orszawski, czy wie gdzie skarby ukryto.

— Nie wiem nic.

— Zakręć korbę mocniej, ognia dawaj!

— Boli, o Matko Boska...

— Może teraz wiesz...

— Wiem, jęczał okropnie Ocipka.

— Co wiesz?

— Wiem, że cię suka a nie niewiasta rodziła.

Rejer krzyknął aby mu piersi przypalano.

— Spotkam się z wami oko w oko — tam — przed Bogiem.

Zasyczało palone ogniem mięso ludzkie, a lina straszliwie ręce górnika wykręciła. Nie czuł on już nic.

Krew buchła mu ustami i nosem, a sina twarz miała straszny widok bólu, straszny jakiś wygląd trupiej głowy. Zdjęto go i złożono na ziemi. Oczy otwarte patrzały w niebo, jakby wołając Boga.

Na torturę wzięto Osikę. Drżał jak liść, trząsł się jak w febrze. Naciągnięty maszyną krzyczeć okropnie począł i litości wołać.

Skomlał jak pies, a męka, ból, który ogniem w stawach palił, złamał słabą jego duszę.

— Wydam! Wydam!

Zelżono liny.

— Gdzie schowaliście skarb, zapytał Rejer stojącego już na ziemi Osikę.

Ten spuścił oczy do ziemi, a w zgromadzeniu zapanowała ogromna jakaś cisza.

— Ja nie wiem.

— Do góry z nim!

— Miłosierdzia waszmość panie!

— Wyłamać mu kości.

— Powiem.

— Za tem gdzie?

— W Zamorsku, w trzeciej komorze... zygmuntowskiego poziomu...

Burmistrz zacisnął pięści, a wśród ławników przeszedł dreszcz zgrozy. Za oknami izby torturowej stało całe prawie miasto, wśród którego rozeszła się wieść, że Osika wydał...

Cichy szmer słychać za oknem, szelest, rumor, krzyk, a wreszcie płacz wielki wśród tłumu.

— Wydał! Wydał!

— Każ pan, zawołał do Klissera pułkownik, natychmiast wszystkie szyby strażą poobstawiać. Nikomu do żupy wejść od tej chwili nie wolno. Ktoby zaś tam się mocą wedrzeć ważył — rozstrzelać.

Dobył kiesy i wcisnął do ręki Osice trzy talary.

— Idź z Bogiem.

Osika miał oczy wytrzeszczone, zapatrzone w dal jak szaleniec. Mgłą mu białawą źrenice zaszły, na ustach zaś osiadła pieniąca się ślina.

Wyszedł na pole... i... straszny okrzyk zgrozy wyrwał się z piersi tłumu.

— Straż mu dać trzeba bo go rozszarpią.

Kilku rajtarów dobyło szabel i przeprowadziło Osikę przez złorzeczące tłumy.

On szedł przez rózgi oczów ludzkich z prawicą wyciągniętą naprzód, piastując na dłoni trzy srebrne, błyszczące talary.

Jak ćma lub sowa ślepa przeszedł przez miasto i znalazł się w polach. Rajtary opuścili go tutaj a on szedł... Nie wiedział dokąd idzie, a jednak szedł i szedł.

Łąki złociły się od jaskrów, a bielejące zwolna żyta kołysały się od lekkiego cieplutkiego wiatru. Złote i srebrne kwadraty pól przeplatały żółte zagony zasypane kwieciem rzepaku. Czerwone maki chwiały się na wątłych swoich łodyżkach, a tłumy białych motyli zalegały błotne miedze. Wiatr niósł zapach lip, które koło chałup dalekich kwitły.

Miasto zniknęło już Osice z oczu, gdy oprzytomniał nieco i zdawał sobie sprawę, co się to stało.

Zaczął płakać idyotycznym jakimś płaczem przerywanym co chwila przez zadumę, która ciągle wracała. Srebrniki jakby przywarły mu do ręki, patrzał na nie, skomlał z płaczu i szedł dalej.

— Nie śmiejcie się do mnie kwiateczki polne, bo ja łotr wielki i zdrajca.

— Nie popatrzę ja już Najświętsza Panno w Twoje śliczne lica.. bom od psa gorszy i dzikiego zwierza.

Oczy mu zapłynęły łzami, połknął się o miedzę i upadł w zboże

— Pies swoich dzieci nie wyda, dziki niedźwiedź swoją krew z obieży ratuje. Hańba na moje imię i przekleństwo nasieniowi memu. Wnuki moje i prawnuki wskazywać będą palcami wołając: oto jego plemię.

W drodze stanęła mu Raba. Pod nogami jego brzeg był przepastny, podmywany pieniącą się falą. Kotłowała się woda zielonym odmętem, który się obracał na głębokiej toni. Na środku lejka wodnego, kręciła się żółtawa poszarpana w kępy i warkocze piana, a ciemna zieloność toni ostrzegała, że tu jest topiel śmiertelna.

(C. d. n.).

był adjutant cesarza i współrodak jego, żartobliwie odpowiedział: *„Si vede al mio naso“*. — Cesarz tylko bystro mu w oczy spojrzał, odwrócił się i poszedł do zwykłego swego na fotelu miejsca. W chwili nagłego odwrotu cesarza, Paër dał Santis'owi szturchańca w bok, wraz ze słowami półgłosem wymówionemi: *„Oh Dio! che bestia! quest'e l'Imperatore“!* Santis przestraszony na prawdę, zawołał: *„Son morto“!* i zaledwie mógł zebrać przytomność do duetu z panią Paër, który odśpiewał nawpół drżący, co chwila zwracając na Paër'a błagalne spojrzenie“.

Tymczasem zaczęła się nowa epoka wojenna, wojna z Rosyą, która, jako główny sprzymierzeniec rozbitych Prus, wystąpiła przeciw Napoleonowi i Francyi. W pamiętnikach Elsnera wojna ta znalazła również swoje odbicie, nie z politycznego jednak, ani strategicznego punktu widzenia.

„Pierwszy bój rozpoczął się pod Pułtuskiem. Cesarz ze sztabem swoim opuścił Warszawę, a za nim zaraz wyjechał Paër, nie uiściwszy się ani mnie, ani naszym artystom orkiestry z umówionego za koncerty wynagrodzenia. Po bitwie pod Friedland zawarty został pokój, który przecież należnej nam zapłaty nie sprowadził. Ja najwięcej na tem szkodowałem, ponieważ z mojej kieszeni przedpłaciłem artystom muzycznym kilka napoleonów złotem, na zaopatrzenie się w ubranie, a mianowicie w trzewiki i pończochy i poniosłem koszta przenoszenia instrumentów do Paër'a na próby, a następnie do zamku. Gdy mi tych kosztów nie wracano, napisałem do Paër'a przez J. P. Referendarza Wołowskiego, jadącego do Paryża, lecz ani pieniędzy, ani odpowiedzi nie odebrałem. Wszakże nie można posądzać marszałka dworu cesarskiego, by nie obrachował kosztów muzyki, urządzonej na rozkaz, i onych nie popłacił, albowiem wszyscy wiedzieli dobrze, że tenże (marszałek dworu) nawet drobiazgowe należności regulował, jakoto: loże, noty do śpiewu sprowadzone z Paryża, które dawał do kontroli, by o istotnej wartości przekonać się, a które sam przepatrywałem.

Muszę tu jeszcze wspomnieć o innej stracie, która mnie podwójnie dotknęła z powodu bytności cesarza Napoleona w Warszawie.

Kiedy byłem w Paryżu, odebrałem zlecenie od księżnej Sapieżyny wybrania i kupienia dla niej fortepianu z fabryki Erard'a. — Przysłała mi na ten cel 5.000 zł. Wręczając tę kwotę Erard'owi, dał mi on z niej 500 zł. dla mnie, podług zwyczaju przyjętego, jak mówił, których jednak nie chciałem przyjąć i nie przyjąłem. Zaprosił mnie wówczas do siebie na wieś na dni kilka, gdzie miałem przyjemność poznania jego rodziny i p. Stejbelt'a. Przy tej sposobności, rozmawiając raz o budowie fortepianów i zakładzie jego zapytał mnie, czy instrumenty te mogłyby mieć odbyt w Warszawie? Następnie, jakich używają u nas zwykle fortepianów? Odpowiedziałem mu, że najczęściej sprowadzamy z zagranicy, mianowicie z Wiednia, ponieważ w ogólności budowa i fabryki instrumentów muzycznych bardzo nisko jeszcze u nas stoją. Wtedy oświadczył się, że chętnieby wysłał jeden fortepian, taki naprzykład jaki zakupiłem dla księżnej Sapieżyny, do Warszawy na próbę, bylebym był łaskaw przyjąć go w komis. „Bardzo dobrze, odrzekłem jeżeli w ten sposób mogę być panu użytecznym“, co słysząc Erard dodał, że możeby mógł nawet założyć skład fortepianów u nas. Zapewne — odpowiedziałem — tylko że nie znam się na handlu, nie zdołam więc pana dokładnie o tem objaśnić. „Bądź co bądź, dokończył Erard, na przyszłe lato przyślę panu fortepian“.

„Wróciwszy do Warszawy, mówiłem o tej okoliczności z pp. Mosqua, Hoffmannem i Wobserem, dyrektorami nowo-założonej resursy muzykalnej: cena fortepianu była im za wysoką, oświadczyli mi jednak, że jeżeli przysłany fortepian będzie zgodny z moim opisem, wtedy go zakupią dla resursy. Natychmiast napisałem do Erard'a, donosząc mu o wszystkiem i wprost zrzekając się rabatu. Wkrótce potem przysłany do Warszawy w należytym stanie i całości, za pośrednictwem kantoru ekspedycyjnego, który mi za transport 60 talarów policzył. W tym to czasie otworzono i uświęcono nowe mieszkanie resursy muzykalnej w domu ne ten cel kupionym i przerobionym kosztem akcyonaryuszów i Jego Królewskiej Mości, który także kilka tysięcy talarów ofiarować raczył. Dzień otwarcia i poświęcenia był 3. sierpnia 1806 roku jako dzień urodzin króla Jegomości.

Nowosprowadzony i tamże pomieszczony fortepian, z powierzchowności podobał się nadzwyczajnie i ogólnie, ton jego podobnież, bo wdzięczny i okazały, słowem instrument ten nie pozostawiał nic do życzenia. Dotknięcie tylko klawiatury dla twardości onej nie zupełnie damom przypadało do smaku, żadna też nie chciała popisywać się na tym instrumencie, nawet tyle sławna Szymanowska; dopiero współubiegająca się z nią o pierwszeństwo panna Wołowska, dziś żona mecenasa Franciszka Wołowskiego, mieszkającego w Paryżu, wykonała na nim koncert Stejbelt'a *Edur* z wielkim upodobaniem słuchaczów. Uchwalono bym czekał do roku 1807 z odebraniem kosztów za transport i należnych Erard'owi 4.600 zł.

„Tymczasem wybuchnęła wojna z Prusami, a nieszczęśliwa dla tych ostatnich bitwa pod Jena sprowadziła Francuzów i ich cesarza do Warszawy. Zamek królewski, którego rządcą był Mejnert, dotąd bez mebli i sprzętów gospodarskich zostający, przyprowadzono, jakkolwiek naprędce i powierzchownie, do stanu mieszkalnego. Znoszono do niego najpierw z resursu meble, porządki stołowe od zamożniejszych mieszkańców miasta i obywateli, dywany, obrazy, szkła i t. d., i t. d., a między innemi ruchomościami zabrano chcąc nie chcąc i Erardowski fortepian dla postawienia go w pokoju cesarza. Nie będąc z należnościami mojej zaspokojony, sprzeciwiałem się temu przeniesieniu w mojem i Erard'a imieniu; nic to jednak nie pomogło!

„Jakże potem zdziwiony zostałem, widząc fortepian ten w mieszkaniu Paër'a, który go dostał z pozwolenia cesarza, w zamian za inny fortepian, rekwizycyą zyskany? Lecz w tem zamieszaniu gdzie jedni prawie od zmysłów z radości odchodząc, myśleli tylko o festynach i iluminacyach, drudzy, mianowicie urzędnicy niemieccy, będąc pokryci moralną żałobą, litośnie i z przedłużonemi twarzami oglądali się za lepszymi czasami, a nawet cichaczem jeden po drugim opuszczali Warszawę, jakże można było, powiadam, spodziewac się zadosyćuczynienia mojemu domaganiu się?

„Spróbowałem wprawdzie skargę moją hr. Małachowskiemu, b. marszałkowi sejmu, przedstawić (zajmował on podówczas najważniejsze miejsce w ustanowionej przez Napoleona tymczasowej komisyi rządowej i był teściem młodego hr. Wincentego Krasińskiego, który będąc zawsze dla mnie bardzo dobrze usposobiony, podjął się mój interes przed teściem popierać) i odebrałem odpowiedź dobrą, lecz, niestety! słowną tylko, a mianowicie, że miałem być spokojny, gdyż jeżeli nie w tej chwili, to niezawodnie, skoro tylko okoliczności pozwolą, powinienem natychmiast zapłatę dla siebie i Erard'a otrzymać.

„Po zawarciu pokoju Friedlandzkiego król Saski a Wielki Książę Warszawski, przysłał tu p. Brezę na ministra spraw wewnętrznych. Jednym z radców jego był p. Tiess, mój przyjaciel. Prosiłem także tego ostatniego, by Jego Ekselencyi ministrowi przedstawił moją prośbę w okoliczności fortepianu, dołączyłem do niej wszystkie potrzebne dowody, jako to: list Erard'a, kwit ekspedycyi transportów w Warszawie z listem ekspedycyi paryskiej, kwit Mejnerta, zrzekając się już zawczasu moich pretensyi, byleby Erard'a zapłacono. Jakoż i teraz zapewniono mnie pomyślnie, lecz trzeba było jeszcze czekać. W kilka miesięcy później mieliśmy szczęście oglądania i posiadania w murach Warszawy samego króla Jego Mości Księcia Warszawskiego z rodziną. Wydał on między innemi rozkaz, ażeby wszystkie zabrane do zamku sprzęty i rekwizyta, a w dobrym stanie będące, zwrócone były właścicielom, a pozostałe zaś by zapłacono. Cieszyłem się bardzo nadzieją ukończenia mego interesu. Niestety! „człek mara, Bóg wiara“. Minister Breza wziął dymisyę, na jego miejsce mianowany był p. Łuszczewski, dobrze mi także znany jako miłośnik muzyki, co tembardziej zdawało się sprzyjać mojej sprawie. Lecz p. minister, kazawszy mnie do siebie powołać, powiedział mi, że ponieważ zapomniano fortepianu Erard'a zamieścić w spisie ruchomości, podlegających zapłacie, nie może on przeto pozostać w zamku. Z mieszkania bowiem Paër'a był znowu zabrany na pokoje, a Imć król Saski za tegoroczniem przybyciem do Warszawy patrzeć się nawet nie mógł i nie chciał na fortepian z powodu, że był jeszcze niezapłacony.

— Jakże to może być, Wasza Ekselencyo — rzekłem — ażeby tak się stało bez żadnego względem tego pisma urzędowego? Czyliż i do siebie nie mogę wziąć tego fortepianu?“ — „Rób pan, jak się panu podoba — odpowiedzial na to minister — ale nateraz nie może być inaczej“.

„Wziął go więc marszałek dworu *Broniec*.

„W roku 1809 Austryacy zajęli Warszawę, nastał nowy stan rzeczy. wszakże ja, po staremu, nie mogłem trafić do ładu, aż nareszcie w roku 1813 dostaliśmy się pod ojcowskie panowanie błogosławionej pamięci Cesarza Aleksandra I.

„Udawałem się następnie do hr. Nowosilcowa z prośbą, aby choć Erard'a zaspokojono.

„Hrabia, zdając mi się wielkim miłośnikiem muzyki, gdyż nieledwie codzień widywaliśmy się u pani Szymanowskiej, robił mi wprawdzie nadzieje, lecz wszystko to skutku pożądanego nie sprowadziło. Zaledwie zdołałem odebrać do siebie nareszcie fortepian, który mi p. Broniec niechętnie oddawał...

„Wprawdzie generał Wołowicz, będąc w 1809 roku w Warszawie, gdy mu nieszczęsne przejścia fortepianu opowiadałem i przedstawiłem a prosiłem o uniewinnienie przed Erard'emu w Paryżu, powiedział mi, że tenże do mnie najmniejszej pretensyi nie miał i mieć nie może, ponieważ nie pierwszy to i nie ostatni zapewne fortepian, na którym olbrzymia jego fabryka szkoduje. „Nie troszcz się pan wcale — dodał generał Wołowicz — a swoją drogą czyń, co będziesz tylko mógł“. Zawsze też i ciągle miałem na myśli załatwienie w końcu tego interesu. Lecz z biegiem czasu nadszedł rok 1830, podczas którego całe moje mienie postradałem. Mała wiejska zagroda, w której ów nieszczęsny fortepian znajdował się, spaloną i zniszczoną zostata do tego stopnia, że szukać musiano następnie miejsca, na którem stały niegdyś moje budowle. W ten sposób przez 40 lat pracy zebrany mająteczek w mgnieniu oka straciłem, gdyż wszystkie inwentarze, sprzęty gospodarskie i domowe, a między niemi i Erard'a fortepian wraz z drugim stały się pastwą... płomieni! Żałuję i ubolewam po dziś dzień, iż nie jestem w możności dowieść sumieniem braciom Erard'om mojej uczciwości i rzetelności!

„Z tego to względu drogo mnie kosztuje pamięć Napoleona, tego wielkiego... wodza. Zamiast bowiem otrzymania nagrody za utwór opery *„Andromedy“*, trzykrotną poniosłem szkodę.

„Opera moja, prócz kilkunastokrotnego przedstawienia w Warszawie, była jeszcze grana w Gdańsku w 1811 roku, gdzie Bogusławski wraz z towarzystwem dramatycznem na żądanie pułków polskich, składających załogę tego miasta, zjechał. Po przedstawieniu tej opery 15 sierpnia, komendant twierdzy generał Rapp, nazajutrz rano przysłał do kasy teatralnej 30 napoleonów w złocie, które pomiędzy członków opery rozdzieliłem“.

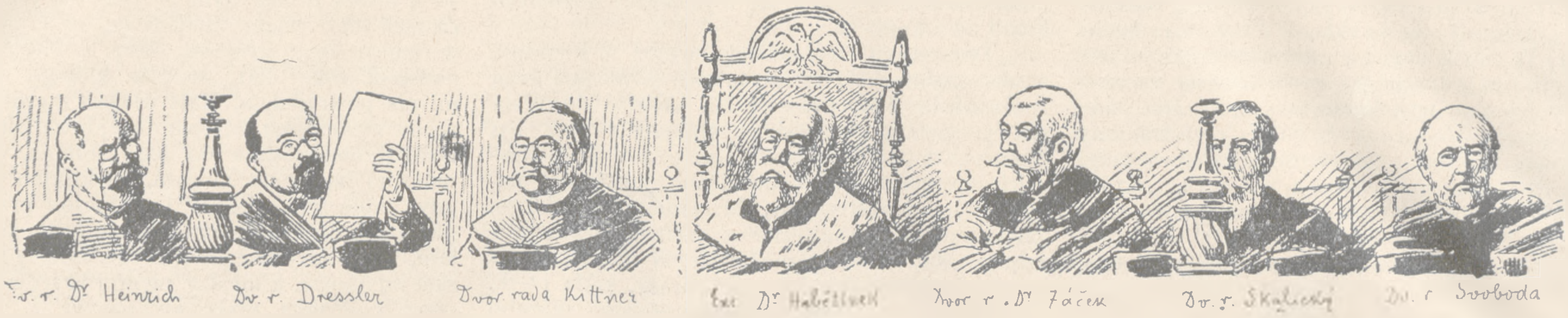
Marya Konopnicka.

SĄD.

Z cyklu „Italia“.

Sąd... Zgroza. . Strach...
Niebieski trzeszczy gmach...
Walą duchy gromowe
Na zwiędłą ziemi głowę
Belki błyskawicowe.
Zerwany świata mir.
W powietrzu jęk i skwir...
Kopcą gwiazdy zgaszone,
Słońce zdjęło koronę,
Poczerniały księżyce,
Wszystko idzie na nice,
Otchłań odkryła lice.
Wstrząśnięte ziemi słoje...
— Gdzie, świecie, węgły twoje?
Gdzie, niebo, twe pokoje?
Żywioły się zmieszały,
Stanęły morskie wały...
Powietrze się zaciska
W dławiące dech koliska,
Rozpadły się pagóry,
Po ziemi pełzną chmury,
Piotrowe pieją kury.
Zadrżały mogił trzewa...
Bolesna wstaje Ewa,
Ciśnie się do niej wąż...
„Ja mąż!
Ja ojciec twego płodu,
Wielkiego prochów rodu!
W uścisk się ze mną wiąż!“
I grzbiet żelazny zębi,
U piersi jej się dębi,
Krzyk bije z dolin głębi...
Z pod grobowej się darni
Budzą goście cmentarni,
Bieleją żgła, jak śniegi...
Skończone już noclegi.
Już prochów aż po brzegi,
Ziemia ich jąć nie może
I woła: Sądź!...
Sądź prochy te, o Boże,
Co byłam im za łoże,
A mnie miłościw bądź!
Rozpadł się nieba zrąb...
Wołanie słychać trąb...
To idzie On!
Wieczności pękły wrota,
Buchnęła jasność złota,
Pan śmierci i żywota
Na sądny wstąpił tron!
Uderzył stopą w chmury,
Pchnął krzyż w przepaście z góry,
Grzmią światy, lecą wióry,
To ramię tu, to tam...
Nie ma już odpuszczenia,
Strzaskany znak zbawienia,
Już skrucha win nie myje...
Że zgrozy szatan wyje,
Przeląkł się siebie sam!
Lecą duchy jak liście,
Wicher je pędzi ogniście,
Szeroki mogił wiew,
Skrzydłami nietoperza
O prochy proch uderza,
Mogilny słychać ziew...
Gdzie czarność była pusta,

Sprawa Hilsnera przed Najwyższym Trybunałem we Wiedniu.



Senat, który odrzucił zażalenie nieważności Hilsnera.

Zawieją senne usta...
Przez próchna, przez popioły,
Zetlały oczodoły,
Ruszył się skielet goły...
Koście do kości dążą,
Mięsa się na nich wiążą,
Stawu się chwyta staw...
I z tego, co był niczem,
Powstaje człek z obliczem
I krzyczy: Zbaw!
Ja twój rab...
Ja rab...
Daj łaskę, a nie sąd!
Zmieszane wstają trupy,
Judasze i biskupy
Jednej się dzierżą kupy.
Na ciałach pleśń i trąd...
Wilgoć lepnie cmentarna,
Z chust wygląda kość czarna,
Jednem żgłem kryją lice
Żony i nierządnice,
Nago idą dziewice...
Niedba rozkosznik zgniły,
Że ręce go chwyciły,
Co dawniej drogie były...
Spadają sławy wieńce,
Gasną wstydu rumieńce,
Tłoczą się potępieńce...
Nędzarz zwlókł się z swej skóry,
Dźwigając grzbiet do góry
Z spękanej trumny wieka,
W niebo co tchu ucieka,
Ratują go zdaleka...
Za palec się uczepił:
— Nie jadłem-ci i niepił,
A Bóg mnie z błota zlepił...
Jakoż mnie sądzić będzie?
Prowadźcie mnie przed sędzię,
Niech na sąd ze mną siędzie!
Ów się porwał ku niebu
Ze swojego pogrzebu...
Już się niesie na stronę
Prosto między zbawione, —
W tem się nagle zbił z drogi:
Gad mu wisi u nogi...
Wparł rękę, ciągnie węża,
Co z sykiem grzbiet przewęża...
Gad stopy się nie puszcza
Straceńców wyje tłuszcza...
Gasną w oku nadzieje,
Przepaść z łkaniem się śmieje,
Ohydne lepną skręty
Do zmartwychwstałej pięty,
Więc krzyknie: Ja przeklęty!
Rozgrzmiały piekłem echa,
Skaziciel się uśmiecha...

Nie bronią berła, stuły
Od grzechu od makuły,
Nie bronią i psałterze!
Choć kościół dasz w ofierze,
Co swoje — szatan bierze.
Wtem cisza się uczyni,
Jak gdyby na pustyni...
— W tej sądu nawalności,
W ciał krzyku, w trzasku kości,
W śmiertelnej ducha mdłości, —
Z okropnej zlepion gliny,
Siadł Adam, płacze winy,
Że spłodził ludzkie syny.
...Nieszczęsny ten, co grzeszył,
Co Ewą się pocieszył,
Gdy oścień żądz go przeszył!
Nieszczęsny, kto stworzony,
Kto uznał gorzkość żony.

Najnowszy strój cesarza Wilhelma.

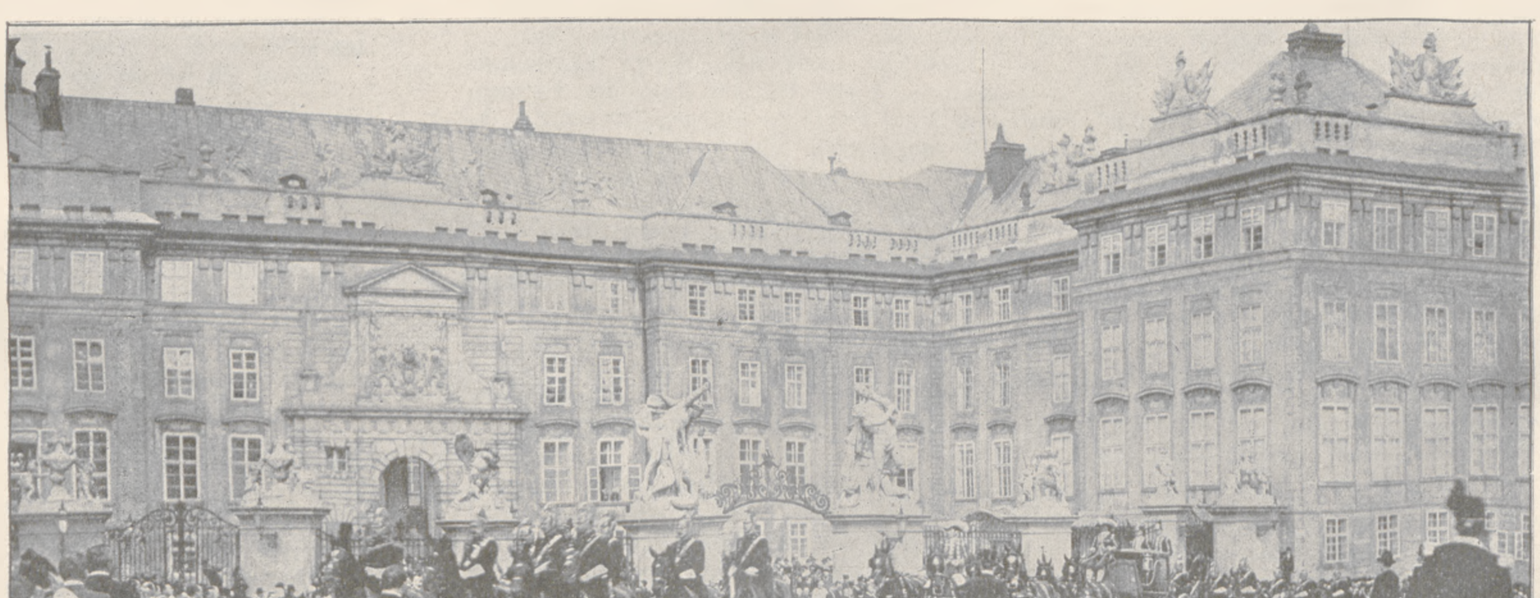


Cesarz Wilhelm jako bursz.

Kto posiadł śmierci plony!..
Nieszczęsna sprawa cała:
— Dziedzictwo nędzy ciała,
I żaru, co w nim pała!
Nieszczęsny, w kim początek.
Wziął srogi życia wrzątek,
Od ojców do dzieciątek!
Nieszczęsny, kto tę ziemię
Pod bólu sprawiał brzemię,
Kto wydał ludzkie plemię!...

Siadł Adam zakrył oczy,
Łzę po łzie ciężko toczy,
Płacz krwawo ziemię broczy...
Okropne pomylenie:
I rozkosz i cierpienie,
Po równej poszły cenie!
A ze dna gdzieś prąświata
Szatana jęk dolata,
Jak wicher co się niesie
W podziemnym ślepym lesie,
Gdzie śmierci drzewo gnie się...
W pień szatan głową bije,
Nad pracą swoją wyje:
Siał żniwo — nie wie czyje?
I tak na krańcach bytu,
Wskróś mroków i wskróś świtu,
Z przepaści do zenitu,
Dwie chwieją się rozpacze,
Rwą przędzę swą dwaj tkacze,
Śmierć jęczy, życie płacze...
W tem buchnie zawierucha,
Puszczony wróg z łańcucha,
Moc idzie ślepa, głucha...
Szczęśliwy, kto się zdarzy,
Iż ludzkiej nie miał twarzy,
Sam sobie nie był wrogiem,
Nie idzie na sąd z Bogiem,
Za ziemi leży progiem!
Duch pomsty lata w gromach
Po ciemnych czasu domach,
Błyskawic się oczymy
Najskrytszych tajni ima,
Wskróś śmierci szuka lochów
Nieosądzonych prochów...
Wypatrzył proch z prawieka,
Co sercem był człowieka,
A teraz, drząc z bojaźni
Przed męką wiecznej kaźni,
Przytaił się mdłym pyłem
I zaparł: „Nie!... nie byłem!“ —
Zbawionych garstka krucha
Ze strachu roni ducha.
Drżą w jednej błyskawicy,
Z lewicy i z prawicy,
I święci, i grzesznicy...
Spękane grobów przęsła.
Już ziemia się zaklęsła,
Już wody biorą ląd...
Już prochów nie nastarczy,
A jeszcze trąba warczy:
— Na sąd! Na sąd! Na sąd!
Okropna modra fala
Ciał kłębem się przewala...
Sinego pełna trupa,
Łódź śmierci po niej chlupa...
Wśród jęków zawieruchy

Uroczysty wjazd kardynała Skrbenskiego do Pragi.



Orszak kardynalski wjeżdża na Hradczany.

Topią się nędzne duchy,
Podnoszą ręce, szyje,
Woźnik ich wiosłem bije,
Śmierć kosą ich odgania:
— Precz!.. Niema już skonania,
Ni grobu zmiłowania! —

Czepiają się z rozpaczą,
Klną modlą się i płaczą,
Aż w gromach go obaczą,
I sądny światów tron...
Ogniem się w oczach mieni
W potępień wszechczerwieni,
Padają wznak rażeni.
— To On!... To Sędzia!... On!...
Spojrzał — zagasły globy...
Stąpił — jęki żałoby...
Truchleją aniołowie,
Słów niema w jego mowie,
Grom wali to, co powie...
Gniew — piorun... pomsta — miecz...
I podniósł obie ręce,
I dał ich w przepaść męce
Wszechwzgardy ruchem:
— Precz!

Uroczysty wjazd kardynała Skrbenskiego do Pragi.



Kler świecki wychodzi naprzeciw kardynała.

Sprawa Hilsnera przed Najwyższym Trybunałem we Wiedniu.



Jeneralny prokurator dr. Lorenz.

NA CZASIE.

Mój »domek ciasny«, chata skąpa« jak mówi Stańczyk w »Weselu« został nawiedzony przez paru gości z za kordonu. Wędrowne te ptaki z krainy gwałtu i przemocy zaleciały do nas chcąc pokrzepić się widokiem Wawelu, wspomnieć na względnie wolnej ziemi imię Rejtana i uczcić Konstytucyę Trzeciego Maja.

Poczciwi! Przynieśli mi z sobą nieco gorączkowej atmosfery warszawskiego życia, oczy spragnione widoku pamiątek narodowych, uszy i serce otwarte na głos wspomnień i — całą paczkę zachwytów nad Battistinim i Kruszelnicką. To już się nie da odłączyć od Warszawy.

W przeciągu dwóch tygodni zdążyli pochłonąć po raz Bóg wie który, wszystkie kościoły, muzea i zabytki Krakowa, schodzili Bielany i kopiec Kościuszki, spłakali się w teatrze na »Weselu« i — nie opuścili ani jednego obchodu patryotycznego, aby, jak mówili, »mieć zapas wspomnień na cały rok«.

W obec tego nie miałem nawet czasu nagadać się z moimi gośćmi, dopiero wczoraj, na odjezdnem, udało mi się znaleść spokojną chwilkę na małe »interwiew«.

Nie będę powtarzał słów zachwytu nad Krakowem, pamiątkami, Wisłą etc., bo to rzeczy znane i brzmiące jednakowo w ustach każdego Polaka. Za to dość ciekawie wypadło zdanie królewiaków o naszych — obchodach narodowych.

— Dziwna rzecz — mówili — jak mało uroczyście wypadają u Was te uroczystości. Czy nie macie nikogo, co by zaaranżował je w odpowiedni sposób? Daruj mój kochany, ale odnieśliśmy takie wrażenie, jak gdyby te wszystkie śpiewy, mowy, nabożeństwa i deklamacye — spowszedniały wam do szczętu. Ani masowego udziału wszystkich sfer społeczeństwa, ani uroczystych, naprawdę uroczystych pochodów, ani wreszcie stosownych programów na koncertach, które mają służyć ku uczczeniu chwili i podniesieniu ducha. Olbrzymia fala obchodu rozdziela się na tyle wieczorów, wieczorków, koncercików i przedstawień amatorskich, iż żaden z nich nie może wypaść jak należy. Każde stowarzyszenie urządza np. swój wieczór ku uczczeniu rocznicy Konstytucyi. Doskonale. Nikt im tego za złe brać nie może. Czy by jednak nie było lepiej, gdyby wszystkie te korporacye urządziły razem jeden wielki obchód, a potem dopiero, w oktawę lub w jaki inny dzień, czciły pamiątkę tej wielkiej chwili u siebie. we własnym lokaju, dla kółka swoich członków! Jak imponująco wydałaby się taka masowa manifestacya, koncert, w którym brałyby udział wszystkie chóry stowarzyszeń, złączone w jeden chór, wszyscy deklamatorzy wygłaszający, wspólnie lub pojedynczo utwory naszych poetów, wszyscy najlepsi soliści instrumentalni i wokalni, każdy na swoim »cheval de bataille«. Czy to nie byłoby rzeczywiście obchodem godnym sił i środków naszego społeczeństwa?

Nie odpowiedziałem nic, czując, że mają niestety racyę. Społeczeństwo galicyjskie tak się już oswoiło z narodowymi obchodami, że przechodzi mimo afiszów ogłaszających je — niemal obojętnie. W uroczystościach pamiątkowych biorą też udział niemal zawsze jedni i ci sami ludzie dobrej woli i gorącego serca, którzy dla wspaniałej, podniosłej treści przebaczają formę obchodów, urągającą nieraz wszelkim wymaganiom dobrego smaku, a co gorsza, często nudną,

Moi goście na to ostatnie najbardziej się żalili.

— Jak tu układają programy tych obchodów narodowych! Przecież chcąc ściągnąć masy publiczności, masy, o których nb. wiecie, że są już zbyt ostrzelane z tego rodzaju uroczystościami, trzeba się postarać o doborowych wykonawców, którzyby wystąpili z doborowym programem muzyczno-deklamacyjnym! U was nietylko zapełnia się afisz dyletantami, lecz nadto pozwala się im grać, śpiewać i deklamować co sami tylko chcą. Skutkiem tego na wieczorkach ku uczczeniu rocznicy Konstytucyi 3-go maja, słyszymy namiętne aryosa Leoncavalla i Mascagniego lub nawet operetkowe arcydzieła—Keler-Beli(!); o Chopinie, Moniuszce, Żeleńskim i Noskowskim ani słychu. Chóry śpiewają jakieś domorosłe arcydzieła tajemniczych kompozytorów, do przeokropnych rymów z poczciwą zapewne treścią, ale bez sensu i składu, orkiestra dudli zas po rzemieślniczemu pieśni narodowe, ale w tak strasznych układach, że istotnie uszy więdną! Dajcie tym produkcyom artystyczny pokost, zaproście do współudziału zawodowych śpiewaków, muzyków i deklamatorów, w razie braku na miejscu, sprowadźcie ich ze Lwowa, a zobaczycie, że publiczność tłumnie będzie zapełniała salę, mając pewność, że nie wszystko skończy się na dobrych chęciach wykonawców... Tym sposobem poziom samej uroczystości podniesie się odrazu na wyżyny dobrego smaku i artyzmu. widzowie i słuchacze pojawią się w potężnej liczbie, z nimi zawitają do kasy pieniądze, a z pieniędzmi możność nadania obchodom takiej szaty zewnętrznej, jaka im właściwie przystoi.

Potok wymowy mojego gościa został przerwany uwagą, że »czas na pociąg«. To mnie uwolniło od odpowiedzi. Chwała Bogu, bo byłaby bardzo trudną!

Pertinax.

Uroczysty wjazd kardynała Skrbenskiego do Pragi.



Kareta sześciokonna czeka na kardynała przed dworcem kolei.

Imieniny stryja Karola.

(Gawęda według pamiętnika.)

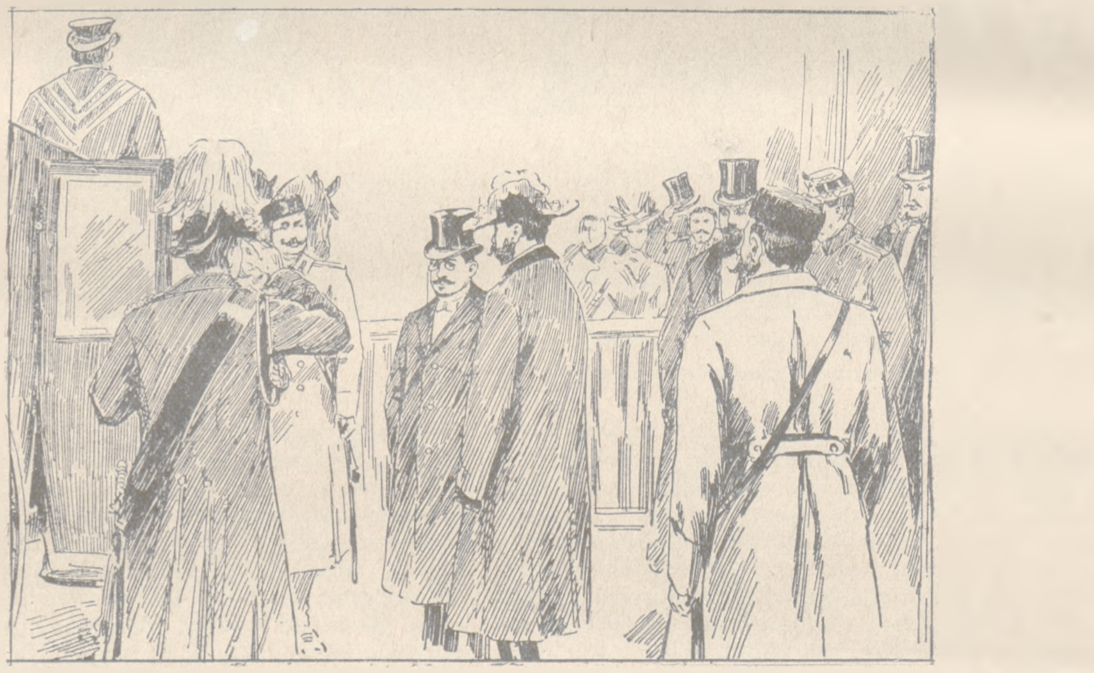
(Dokończenie.)

Zasnąłem, ale ogarnęło mnie wnet majaczenie i rozchorowałem się ze wzruszeń, ze strachu i z zaziębienia.

Zapadłem w gorączkę i mało co wiedziałem o sobie. Tyle pamiętam, że snuły się koło mnie jakieś obce twarze, że mi stawiano pijawki, że mi się wciąż zwidywały wilki, że San mi się wydał jakimś oceanem, pełnym potworów, że Otello wyrósł w takiego olbrzyma, iż połykał, jak muchy, słonie, wieloryby, a Neumann, w płaszczu krzyżackim i pikielhaubie żołnierza pruskiego, leżał rozciągnięty, we krwi, na jakiemś pobojowisku, po którem tryumfalnie przechadzał się Wacek.

Nareszcie i te widziadła popłynęły gdzieś w dal, niby chmura, kłębiąca się w rozmaite kształty. Gdym się jakoś ocknął i trzeźwiej na około spoglądać zdołał, spostrzegłem przy sobie Karczyńską.

Francuski minister spraw zewnętrznych, Delcasse, w Petersburgu.



Przyjęcie na dworcu kolei.

— A to pani tu?

— O! chwała Bogu! Dobrze już moje dziecko, no, no, już mi weselej na sercu — rzekła trzęsącym głosem staruszka.

— To ja jeszcze w Tyrawie? Pewnie bardzo byłem chory?

— W Tyrawie, robaczku, w Tyrawie. Nie martw się, przecież to pan Leon jest wnukiem cioteczno-stryjecznej siostry babki twego ojca, to ci wypada wyjaszkiem. Dobry z niego wujaszek. Pielęgnowali cię z wujenką jakby własne dziecko, sprowadzili doktora z Sanoka. Doktor kiwał głową, a ja mu powiedziałam, że to kiwanie na nic, bo i bez doktora będziesz zdrów. Wy silny ród. Twój pradziadek, kasztelanic sandecki, Panie daj mu niebo, przyjechał konno na chrzciny swego wnuka Karolka, bo nie można się było przekopać saniami; a miał wtedy lat osiemdziesiąt dwa. Twój dziadek, gdy miał lat osiemdziesiąt, tańczył jeszcze mazura. Tak, tak, robaczku. A twój ojciec, a Karolek, co? nie tęgie chłopcy. A cóż to wam brakuje robaczki? co? Powiedziałam doktorowi, że on głupi, bo taki robaczek, co potrafił ubić dwa wilki, to i chorobie się nie da. Co? dobrze powiedziałam?

— A skądże pani wie o wilkach?

— E, e, robaczku, ja ci to powiem, powiem, ale czekajno, która to godzina? hej, hej, a to czas ci dać lekarstwo. No, no, byłabym zapomniała. Zaraz, zaraz; muszę pomału nalewać, bo to widzisz ja już stara, to mi się ręce trzęsą. No — już, już — tak, podnieś główinkę, dobrze, no otwórz że pyszczek, masz koteczku, prędko, a polizuj z łyżki. Tak, dobrze.

— A gdzie mój brat?

— Jest tu w Tyrawie, a i Wacek jest i stryj Karol.

— Co? co pani mówi? Po co oni tu zjechali, to ja pewnie bardzo byłem chory. A Wacek przecież był ranny. A czy brat mój nie chorował?

— Pomału, pomału. Bądźże robaczku spokojny; wszystko ci koteczku opowiem. Bądźże spokojny, bo sobie zaszkodzisz. Wszystkich zobaczysz. Dziś środa popielcowa, więc wszyscy poszli na mszę świętą do kościoła. Przecież kościół tuż przy dworze, to prędko wrócą. Zaraz.

— To dziś popielec! To ja trzy tygodnie chorowałem?

— Ale co tam o tem będziesz myślał. Podziękuj Bogu, żeś zdrów, tak, tak. Ja to mówiłam, że będziesz zdrowiuteńki. Twój dziaduś także tak chorował, a miał lat osiemdziesiąt cztery, a w dwa tygodnie potem jeździł już na koniu, bo to bardzo lubił. Ot, dzielny oficer z brygady jenerała Madalińskiego.

Byłem niecierpliwy, chciałem dowiedzieć się o wszystkiem, a tu poczciwa Kaczyńska wraca do dawnych wspomnień i nie można jej przerywać, bo staruszka bardzo się tem obraża. Wyjątkowa to była postać. Liczyła wtedy lat sto, a była przytomna, zdrowa, ruchliwa. Cerę miała tak ściemnioną wiekiem, że wyglądała jak z bronzu; a taka była szczupła, jakby nie było na niej ciała, jeno sama skóra na kościach. Jej ojciec był marszałkiem dworskim u mego pradziadka; umarł nagle, wnet i żona jego zmarła, i została po nich sierota Anusia. Gospodarna, obrotna, zacna, więc ją prababka otoczyła opieką. Wyrosła na parnę Annę; trafił się jej narzeczony, człek uczciwy, pokochała go z całego serca. Narzeczony poszedł do Kościuszki i zginął pod Maciejowicami. Dochowała mu wiecznej pamięci i za mąż nie wyszła. Była potem u mego dziadka, a teraz wziął ją stryj Karol w opiekę. Czciliśmy ją wszyscy, jakby prababkę. Chociaż mnie niecierpliwość dręczyła, musiałem się zdać na łaskę i niełaskę Kaczyńskiej.

— Ale to z ciebie zuch robaczku! Jak to sobie dałeś radę z wilkami. Ho! ho! co to było, co to było. Jakeście wy drapnęli cichaczem od Karolka, tak stryj spostrzegł, że was nie ma. Dalejże się pytać, no i powiedzieli mu dworscy, żeście sami we dwóch pojechali. Stryj się przeląkł i zaraz wysłał za wami ekonoma z ludźmi na koniach, żeby prędko was dognali. Ludzie znaleźli po drodze dwa ubite wilki, zabrali je z sobą i pędzili za wami, ale myśleli, żeście do Wacka wprost pojechali, więc tam przygnali późną nocą. Strach był wielki, gdy was nie zastali, więc ekonom wziął Wackowe konie i Wackowych ludzi, bo tamci zmęczyli się bardzo i dalejże was szukać. Wrócili nad San i ztamtąd patrzyli na ślady, no i tak jakoś utrafili was w Tyrawie. Zaraz też raniutko wysłał ekonom konnego człowieka do Karolka, że wszystko dobrze, żeście w Tyrawie. Gdy już dobrze rozedniało, twój braciszek się zbudził zdrów, czerstwy, bo się wypocił przez noc doskonale, a tyś majaczył, głowę miałeś gorącą. Nie budzili cię, spałeś sobie, a tamten robaczek zebrał się prędko i pojechał do Wacka. A nie było po co. Jużcić dobrze zrobił, bo się Wacek ucieszył, a bracia stryjeczni powinni się kochać, jak rodzeni, boć to jednego dziadka wnuki. No, widzisz — to pięknie było, tak potrzeba. Ale Wackowi nic nie było. Aleś ty robaczku tymczasem się rozchorował. Pan Leon się przeląkł, dał znać Karolkowi. Karolek nazajutrz po imieninach przyjechał do Wacka. Ano zaraz tu zjechali i stryjaszek twój i braciszek, zjechał doktor, no i chorowałeś. Wackowi nie byłam potrzebna, tom do ciebie robaczku przyjechała. No tak. A Karolek napisał do twego ojca i posłał mu owe dwa wilki, coś je zabił. Ojciec także tu jest, wszyscy są.

— I ojciec jest? a ze stryjem już się nie gniewają?

— Ej, cóż znowu. Toż ja im powiedziałam: smarkacze pocałujcie się i kochajcie. Co to między braćmi gniewy? To grzech i obraza boska! E, twój ojciec bardzo się z początku martwił, żeś chory, ale gdy już od trzech dni doktor przysięga, że ci nic nie będzie, ojciec powtarza: a no, chwała Bogu, zuch chłopak. Brata nie puścił samego, wilki ubił. Już z nich zrobione futro na sanie do przykrycia nóg. Pan kasztelan sandecki, twój pradziadek, panie daj mu niebo, tak mawiał: u szlachcica to obowiązek być tęgim człowiekiem, u plebejuszów zasługa. To nie ma się czem chwalić szlachcic, jeżeli z niego dzielny człowiek, bo takim powinien byś z obowiązku. Ale jak biedactwo jakie nieszlacheckie wygramoli się na ważnego człowieka, to mu trzeba honor oddać, bo to jego zasługa. To tak robaczku, tak, będziesz o tem pamiętał, że masz obowiązek zasłużyć na cześć ludzką. Zasłużyłeś, skoro wilki bijesz. Te wilki widzisz przydały się. Twój ojciec ucieszył się tem, że Karolek je posłał, choć to daleko do was, bo to będzie ze sześć mil opętanych, tak się tem ucieszył, że już bez urazy przyjechał. No, bo tam Karolek pochwalił cię w liście bardzo, a to ojca ujęło.

Osłabiony chorobą, zmęczony opowiadaniem Kaczyńskiej, nie mogłem już ani pytać się, ani słuchać i zasnąłem. Znowu koło mnie kręciły się widziadła, ale już spokojne, po części wesołe. Gdym się zbudził, było mi jeszcze weselej, bom wnet zobaczył wszystkich, a uradowanych mojem wyzdrowieniem.

Nie puszczono mnie z łóżka jeszcze przez tydzień, a że co dnia byłem silniejszy, więc i nudziło mi się coraz bardziej; słuchałem też z upragnieniem wszelkich opowiadań.

Kaczyńska była dla mnie skarbnicą wiadomości, bo pamiętała dobrze, czasy konfederacyi Barskiej i wszystkie wypadki, aż po straszny rok 1846. Na nim już złamała się jej pamięć. Możnaby kilkanaście gawęd urobić z tego, a ciekawszych niż to, co teraz opowiadam, ale to kiedyś Państwu powtórzę, tymczasem muszę wyjaśnić historyę owego pojedynku pana Sylwestra z Wackiem.

Ojciec Sylwestra, był był bardzo zacnym, rozumnym człowiekiem. Dobry gospodarz, energiczny w sprawach swoich i publicznych, usłużony dla każdego, był powiatową znakomitością. Matka, nie zła kobieta, miała głowę przekręconą, bo z domu była hrabianką, aczkolwiek bez posagu, ale z pretensyami. Wymuszona, sztuczna, płytka, nigdy nie była ani typem, ani charakterem, zawsze tylko upersonifikowanym pozorem. Sylwester był podobny do matki.

Dwór w Kozicach był piątrowy, murowany, więc go szumnie nazywał Sylwester pałacem, no i szukał też pałacowego towarzystwa, choćby daleko od Kozic, bo aż w Lisku, lub w Dubiecku, w Nozdrzu, lub w Nienadowej. Tam go wprawdzie przyjmowano, ale nie mniej śmiesznym wydał się w pałacu, jak i w zwykłym dworze.

W Sanoku zapowiedziano bal na cel dobroczynny. Dowiedział się Sylwester, że pałace tam będą, więc i on pojechał. Oczywiście, że paniom „z miasta" i „szlachciankom" wcale się nie przedstawiał, trzymając się tylko „towarzystwa„.

Tańczą kotyliona. Aranżer pożyczył sobie figury z mazura i urządził „krzyż". Sylwester tańczył z hrabianką z Nienadowy, a przed nim był w krzyżu Wacek z Halką z Jurowic.

— Kotylion o jedną damę naprzód — zawołał aranżer.

Sylwester posuwa się, spogląda na Halkę wyniośle, pomija ją i podskakuje do hrabiny Ponickiej.

— Permettez madame, — mówi i z nią tańczy.

Halka zaambarasowana, bo bez dansera została, lecz hrabia Ponicki, przypatrujący się tańopwi, zbliża się prędko:

— Pani raczy pozwolić, bym wyręczył pana Sylwestra.

Tańczą.

— Do swoich danserek.

Wacek szuka Halki, spostrzega ją z Ponickim.

— A place.

Ponicki tłómaczy się uprzejmie przed Wackiem, dlaczego mu zabrał danserkę, Wacek gorączka, a zakochany w Halce, korzysta z pauzy i wzywa aranżera, by zmusił Sylwestra do usprawiedliwienia się i przeproszenia Halki, lub do opuszczenia sali balowej.

— Dziwne pretensye tego pana. Nie szukam znajomości między szlachetkami, a tańczę tylko z damami z towarzystwa — odpowiedział Sylwester wcale głośno. Słyszeli to Wacek i Ponicki. Ponicki oburzył się i chciał wyzwać Sylwestra, ale Wacek nie dopuścił, boć o jego danserkę poszło.

Z tego wywiązał się ów pojedynek i dlatego Halka na imieniny stryja Karola nie przyjechała.

* * *

W rok potem w imieniny stryja Karola odbyło się wesele Wacka z Halką, a ja byłem drużbą. Nie żal mi już było Halki, bo tymczasem zakochałem się we Femci z Wojtkówki. Dzień był prześliczny, bez wichru, bez zadymki, więc stara Kaczyńska zjechała do Jurowiec i ona pierwsza błogosławiła młodej parze. Umarła staruszka jakoś w rok potem, w kilka tygodni po chrzcinach Wackowego syna. Poznała piąte pokolenie naszej rodziny.

Sylwester przez trzy miesiące pokutował i do dziś dnia zakrywa włosami obcięte ucho.

Ową wilczurę mam do dziś dnia. Wyłysiała wraz ze mną, ale mi jako tako nogi grzeje pod biórkiem. Rapir, co wilki pokrajał, patrzy na mnie ze ściany.

Luty 1901 r. *Stary Gaduła.*

W majowy wieczór.

Zdrowaś Maryo! Kwitnący maj
Wieńcami ubrał Twe ołtarze...
Fioletowy w kościele zmierzch
Na rozmodlone upadł twarze...

Słonce za ciemny chowa się bór,
Zwolna krąg tocząc purpurowy...
Zdrowaś Maryo! Do Twoich stóp
Modlitwa chłopskie chyli głowy...

Przez witraż światła czerwony snop
Rzuca ostatnia, gasnąc, zorza — —
Fioletowy zapada zmierzch,
Zdrowaś Maryo! Gwiazdo morza!

Cisza wieczorna idzie od łąk,
Mgłami owiewa senne gaje,
Otula skrzydłem szeregi chat
I na rozdrożach, smutna, staje —

A ku niej płynie z kościelnych wrót
Pieśń, jak ogromnej skargi fala — —
W przestworzach anioł srebrzysty mknąc
Na niebie ognie gwiazd zapala...

Zdrowaś Maryo! Oto Twój lud
W zgrzebnej się przywlókł tu siermiędze
I zwierzył swego serca ból
Twojej miłości i potędze. —

Płynie z świątyni falami śpiew,
Zdrowaś Maryo! Gwiazdo morza!
Płynie w majowy wieczorny zmrok
Hen — na ugory i rozdroża...

Zdzisław Dębicki.

Nasze ryciny.

W szpitalu Chelseaskim w Londynie zebrali się starzy inwalidzi wojskowi przy szklankach i fajce, aby zabić czas i gawędzić o przebytych bojach. Pośród nich usiadł młody żołnierz, świeżo wyleczony z ran odniesionych w walce z boerami i opowiada o walkach, w których brał udział. Niektórzy inwalidzi słuchają pilnie, inni uśmiechają się z pobłażliwością. Wiadomo im dobrze, iż fantazya żołnierska umie barwić zdarzenia wojenne tak, iż nikt z tych, którzy sami brali w nich

Pogrzeb malarza Brożika.



Wieńce, złożone na trumnie artysty.

udział, nie poznał by żadną miarą miejsc, ludzi i walk, opisywanych „pod słowem“ przez zapalczywych bohaterów.

We środę 24 kwietnia o 10-tej zrana zapadł ostateczny wyrok w procesie żyda Leopolda Hilsnera, tajemniczego mordercy dziewcząt chrześcijańskich z Polnej. Wiedeński trybunał kasacyjny po wysłuchaniu wywodów obrońcy Hilsnera, dra AurednICZka i generalnego prokuratora Lorenza, odrzucił zażalenie nieważności wniesione przez obrońcę. Tym sposobem wyrok śmierci, ferowany na Hilsnera przez trybunał w Pisku — stał się nareszcie prawomocnym. Żydzi podnieśli z tego powodu okropny krzyk, bo niemoże im się w głowie pomieścić, aby morderca, należący do wybranego narodu mógł ponieść karę śmierci. Wyrażają też ciągle nadzieję, że cesarz ułaskawi Hilsnera, a czynią to z właściwą swojej rasie nahalnością i arogancyą. Dotąd o ułaskawieniu nic jeszcze nie słychać, nie wiadomo nawet czy najwyższy trybunał uchwalił przedłożyć cesarzowi stosowny wniosek. Wkrótce powinno się to rozstrzygnąć. Hilsner jak wiadomo, był zawsze silnie przekonany, że mu włos z głowy nie spadnie; mówił przecież że „prędzej będzie wisiał dr Auredniczek, jak ja“. Ano, niedługo da się widzieć o ile miał racyę.

Trzy ryciny dzisiejszego numeru poświęcone są wspaniałym uroczystościom jakie miały miejsce z okazyi przybycia bar. Skrbenskiego, nowomianowanego kardynała, arcybiskupa praskiego, z Pesztu do Pragi. W Peszcie otrzymał bar. Skrbenski z rąk cesarza kapelusz kardynalski, równocześnie z ks. biskupem krakowskim, Puzyną. Rycin, przedstawiających uroczystości krakowskie nie podajemy z tej prostej przyczyny, iż ks. kardynał Puzyna nie życzył sobie, aby wjazd jego do Krakowa był obchodzony ze zwykłą w takich razach pompą i przepychem.

Prasa europejska niemało czyni domysłów i przypuszczeń na temat podróży francuskiego ministra spraw zewnętrznych Delcassego, do Petersburga. Jak słychać konferencye odbywane przezeń z rosyjskimi dyplomatami miały na celu wzmocnienie rosyjsko-francuskiego przymierza, jakoteż ustalenie kwestyi odszkodowania, żądanego przez Francyę za jej interwencyę w kwestyi chińskiej. — Na rycinie widzimy jak ambasador francuski w Petersburgu hr. Montebello wita Delcasse'go na dworcu kolei żelaznej.

Niemieccy bursze, zgromadzeni w stowarzyszeniu „Borussia“ na wszechnicy w Bonn, celem jak najczęstszego upijania się i robienia awantur, dostąpili niemałego zaszczytu. Do grona ich został zaliczony syn cesarza Wilhelma, następca tronu niemieckiego. Co więcej, sam cesarz zasiadł z nimi do stołu, komenderował „salamandrą“ tj. biciem kuflami o stół, pił piwo i wino w obfitości, śpiewał burszowskie pieśni, a co

---

»PSUBRATY«.

Powieść na tle stosunków współczesnych.

CZĘŚĆ DRUGA

(Dokończenie).

Nastał moment głębokiej ciszy; słychać było miarowy takt zegara z saskiej porcelany, stojącego na stoliczku, o który opierała się Izabella. Finländer położył kapelusz, usiadł znowu na fotelu i wydobywszy kostkę do czyszczenia paznokci, oglądając palce, zawołał z krzykliwym śmiechem:

— Teraz już chyba gramy w odkryte karty! Sprowadzony tu zostałem przez sąd i policyę, aby dopomódz im w wyświetleniu prawdy. Sytuacya przedstawia się doprawdy coraz prościej. A więc jakąż decyzyę raczy powziąć jaśnie oświecona?

Izabella, znowu blada i martwa, otwierała wargi z których odbiegła krew, aby odpowiedzieć na to szydercze pytanie, gdy nagle od drzwi rozległo się lekkie pukanie. Finländer podniósł na księżnę wzrok zdziwiony, nie było jednak czasu na wyjaśnienie, bo drzwi się otworzyły i stanął w nich wyświeżony i elegancki — Adolf Spitzbart.

Spostrzegłszy obcego mężczyznę Spitzbart zmięszał się i chciał się cofnąć. Na twarzy księżnej jednak zabłysło nagle jakieś postanowienie. Podbiegła ku wchodzącemu, chwyciła go za rękę i zamknąwszy nerwowo drzwi na klucz, wprowadziła przybywającego naprzeciw Finländera, poczem ruchem niedbałym przedstawiła ich wzajemnie:

— Mój pierwszy mąż, Finländer, mój teraźniejszy kochanek, Spitzbart.

Osłupienie, w jakiem obaj mężczyźni patrzyli na siebie, zmieniło się niebawem w nieszczery, pełen przymusu śmiech.

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana: — rzekł pierwszy Finländer — nie mogę mieć do pana żadnej pretensyi, ponieważ oszukiwałeś pan nie mnie, lecz tego kto bezprawnie korzystał z praw moich...

— Księżna Czarotyńska — odpowiedział Spitzbart, źle ukrywając pomięszanie i zdumienie, jakiemu jeszcze ulegał — mówiła o panu zawsze w sposób jak najżyczliwszy i jestem przekonany, że tylko okoliczność, iż los sprzągł jej życie z człowiekiem wstrętnej nam rasy...

— O, nie tłómacz się pan... Co mnie obchodzi przeszłość... Obecnie wszystko wróci do normalnego stanu. Liczę tylko na to, że nie zechcesz pan odtąd stawać na poprzek naszemu szczęściu...

Spitzbart nie wiedział, co odpowiedzieć na te sarkastyczne słowa. Dopomogła mu Izabella, która tymczasem, otworzywszy biurko, poczęła przerzucać znajdujące się w szufladzie papiery.

— Widzisz, Spitzbart, co to za gwałtowny człowiek, zawołała; grozi mi policyą i sądem jeżeli natychmiast nie rzucę mu się w objęcia i nie pójdę za nim na kraj świata.

— A grożę nie żartem — dodał Finländer, zwracając się z surowym wyrazem twarzy w stronę Spitzbarta. — Sądzę, że będę miał w panu sprzymierzeńca. Niebezpieczeństwo, które grozi Izabelli jest panu chyba dobrze znane. We własnym należycie zrozumianym interesie — słowa te wymówił Finländer z naciskiem — zechcesz pan przedstawić jej, że konieczność nakazuje zastosować się do mojego życzenia...

— Myli się pan, panie Finländer — odrzekł Spitzbart.—Konieczność zmusza księżnę do czegoś zupełnie innego. Dziwię się, że panu tego dotąd nie wytłomaczyła...

Izabella, podniosła się od biurka, i trzymając w ręku zwój papierów, zbliżyła się do kominka.

— I tłomaczyć nie będzie — rzekła wyniośle. Ten człowiek jest zupełnie w swoim prawie. Powinnam się zastosować do jego życzenia. Jeżeli złamałam raz daną największą przysięgę, wtajemniczając ciebie, Spitzbart, w ostatnią wolę Simchy Bukszpana, mogłabym niezawodnie to samo uczynić teraz wobec mojego męża. Ty wtedy tak samo przychodziłeś, aby groźbą wywrzeć na mnie nacisk, aby postrachem przed sądami i więzieniem bawić się ze mną jak kot z myszą. Podałam ci do przeczytania ten oto papier i stałeś się moim wspólnikiem, moim pomocnikiem, moim kochankiem wreszcie. Zaryzykowałam: przeczuwałam w tobie dobrego, prawdziwego żyda...

— A czyż twój mąż nie jest także żydem, czy i u niego także, interes naszego plemienia nie stoi ponad każdym innym interesem, a pragnienie wspólnej zemsty i wspólnego zwycięztwa nie jest także jego pragnieniem?

Nastała chwila milczenia. Spitzbart i Izabella wpili się wzrokiem w nieruchomą, martwą twarz Finländera, który zdawał się nie słuchać tej rozmowy drżącej tłumionym wybuchem jakiejś dzikiej namiętności...

— Widzisz, widzisz, Spitzbart — zawołała Izabella — jemu ani jeden nerw nie drgnie, kiedy jest mowa o sprawie żydowskiej. Co jego to obchodzi! On chce tylko dobrze zjeść i zaspokoić wszystkie swoje inne osobiste pożądania! Ja o tem wiedziałam, mnie o tem mówił stary Simche, on go dobrze znał! Simche przypuszczał, że jego chyba jakiś goim spłodził... Ile ja razy mówiłam z nim o tem, co nas boli, o tem, co my nienawidzimy; on zawsze wzruszał ramionami! On mi raz nawet powiedział, że się nie dziwi, iż nami pogardzają, bo na to zasługujemy! słyszysz, tak powiedział żyd! My się po tym człowieku nie możemy niczego spodziewać. Pokazywanie jemu testamentu starego Simchy byłoby profanacyą tego świętego dla nas dokumentu...

I nagłym ruchem wrzuciła Izabella zwój trzymanych w ręku papierów w ogień kominka. Finländer skoczył żywo, chcąc uratować tak cenny dla sędziego śledczego dokument — ale Spitzbart odepchnął go dłonią silną. Finländer zatoczył się pod okno.

— Łotrze — zawołał do Spitzbarta — wydałbym cię natychmiast w ręce czekającej pod drzwiami policyi, gdyby tu nie szło o nią... Po raz ostatni, zapytuję się, Izabello — idziesz ze mną?

— Jesteś panem położenia, możesz mi rozkazywać...

W kilka dni potem, do biura sędziego Towarskiego, wpadł sztywny, blady, wzburzony — ajent Frosch.

— Wszystko stracone, wszystko stracone, panie sędzio, — wołał jęcząc — padliśmy ofiarą potwornego oszustwa...

— Gadajże, panie Frosch, co się stało?

— Zdawało mi się, że jestem starym, doświadczonym agentem, który zęby zjadł w swoim zawodzie i że mnie lada rzezimieszek tak łatwo nie wyprowadzi w pole... Byłem zbyt pewny siebie, i zaufałem temu gudłajowi... A przestrzegano mnie, a mówiono mi, że te psubraty wszystkie trzymają się za ręce...

— Więc Finländer zdradził? Gdzie on jest?

— Uciekł, uciekł zbrodniarz z tą łotrzycą, tak, że ani wiem, ani się domyślam dokąd. Wczoraj rano wyszedł z domu, mówiąc mi, że księżna obiecała go wprowadzić tej nocy do mieszkania swego kochanka, który ma w przechowaniu testament Simchy Bukszpana i kierował nicią oszustw, na których tropie jesteśmy. Dzień miał przepędzić w ukryciu w jej buduarze. Szedłem w ślad za nim, jak zwykle. Przez cały dzień czekałem przed pałacem Czarotyńskich, całą noc nie spuściłem oka z bramy pałacu — przepadł bez śladu. Wreszcie wczesnym rankiem zdecydowałem się posłać kogoś zaufanego ze zmyślonym interesem do księżnej od modniarki. Odpowiedziano, że księżna wyjechała już trzy dni temu do Królestwa do swoich krewnych. Finländera zaś w całym pałacu ani śladu. Musiał łotr w przebraniu wymknąć mi się w jakieś półgodziny po wejściu do pałacu i podążyć za swoją zacną połowicą. Po dwudziestu czterech godzinach — szukaj wiatru w polu!

Dzwonek od telefonu rozległ się tuż nad uchem sędziego śledczego.

— Halo! Kto mówi?

— Sędzia śledczy Towarski.

— Tu komisaryat policyi. W tej chwili odebrał sobie życie wystrzałem rewolweru w swojem mieszkaniu Ludwik książe Czarotyński. Powodem samobójstwa był niewątpliwie przyniesiony mu przez niejakiego Opowskiego przed pół godziną list od żony, która uciekła bez śladu, prawdopodobnie w towarzystwie człowieka, z którym ją łączyły dawne stosunki. List jest do dyspozycyi pana sędziego. Opowski aż do dalszego zarządzenia przytrzymany dla spisania z nim protokołu...

KONIEC.

najważniejsza, wypowiedział długą mowę o nader poetycznem zacięciu. Według opowiadań naocznych świadków miało to być wielce wzruszające. Rzecz naturalna, iż władca Niemiec, który tak lubi przebierać się w najrozmaitsze stroje, począwszy od admirała, aż do „Rübezahla„ (fantastyczna postać z ludowej bajki) nie omieszkał i tym razem wystąpić w stosownych szatach. Na głowie miał dziwaczną czapkę burszowską a na piersiach wstążkę czarno-biało-czerwoną. Bawiono się tam wesoło i hucznie. Najlepszy dowód w tem, iż wierne poddańcze dzienniki pruskie zauważyły przy opisie uroczystości w Bonn, że na drugi dzień po komersie zastępca tronu wyglądał nieco blado“. Widać iż żołądki wielkich tego świata mogą znieść spokojnie tylko tyle alkoholu, co żołądek zwykłego śmiertelnika! Na to nawet potęga cesarza Wilhelma nic nie zdoła zaradzić!

Od wydawnictwa „Głosu literackiego“.

Na podstawie umowy z wydawnictwem »Głosu Narodu«, pismo nasze, wydawane dotychczas jako odrębny tygodnik, zespala się odtąd w jednę organiczną całość z wydawnictwem »Głosu narodu«.

Niniejszy numer jest więc ostatnim odrębnym numerem »Głosu literackiego i społecznego« jaki opuszcza prasę drukarską.

Od przyszłego tygodnia począwszy, ukazywać się będzie pismo nasze pod formą świątecznego podwójnego illustrowanego numeru »Głosu Narodu«, który opuszczać będzie prasę w sobotę o godzinie 2 popołudniu.

Prenumeratorowie abonujący wyłącznie »Głos literacki i społeczny« otrzymywać będą, aż do chwili wygaśnięcia ich prenumeraty, ilustrowane numery »Głosu Narodu.

KRONIKA LITERACKO-ARTYSTYCZNA.

LITERATURA.

* Kazimierz Kaszewski, znakomity tłómacz Sofoklesa, wydał świeżo tom swoich przekładów „Idyl i epigramматów“ Teokryta, które dotychczas na język polski w całości przetłómaczone nie były. Tłómacz miał przed sobą niezmiernie trudne zadanie. Najrozmaitsze formy dyalektów: doryckiego, ońskiego i eolskiego, widlka ilość wyrazów u innych poetów rzadko lub wcale nie napotykanych, zwroty mowy, gwarze ludowej właściwe, przysłowia, nie zawsze dla nas zrozumiałe, tekst wobec złego stanu rękopisów nieustalony — wszystko to razem wzięte nadzwyczaj utrudnia już samo rozumienie Teokryta, a od tłómacza wymaga gruntownej, wszechstronnej znajomości języka i w ogóle świata greckiego.

Kaszewski wybornie się ze swego zadania wywiązał. Z mrówczą cierpliwością odczytując komentarze, przekazane nam przez starożytność, a pracą późniejszych uczonych powiększone, zwalczył trudności, któremi jeży się tekst Teokryta, i myśli jego prawie wszędzie należycie zrozumiał. Przekład jego jest przedewszystkiem wierny, następnie dokładny i ścisły nietylko pod względem wewnętrznym, ale nawet co do ilości wierszów utworu, co w tem większe wprawia zdumienie, iż napisany jest wierszem rymowanym. Dla oddania heksametru tłómacz posiłkuje się najczęściej wierszem 13-zgłoskowym, rzadziej 14, 15, 16, niekiedy 12-zgłoskowym. „Dimeter iambicus catalecticus“ w idylii XXXI, oddaje 7-głoskowym z rymem męskim. Wiersze te płynne, rytmiczne sprawiają na czytelniku wrażenie, do toku wiersza greckiego bardzo zbliżone.

Tłómacz wszystkie idylle przełożył pięknie, zachowując znakomicie wdzięk, barwę i cały koloryt obrazków Teokryta. Ta sama siła, obrazowość i dosadność wyrażeń, naturalność, prostota i szczerość uc[illegible]ia. — Czy to poeta maluje wdzięczny obrazek z natury, rozpacz kobiety, porzuconej przez kochanka, wybuchy namiętne miłości i nienawiści, czy ze spokojem epickim opiewa trudy Herkulesa, czy przedstawia walkę śpiewaczą pasterzy, lub cięte, uszczypliwe ich swary — przekład wszędzie stoi na wysokości oryginału i skrzy [illegible] perełkami prawdziwego talentu.

Każda strona przekładu Kaszewskiego ten sąd o jego pracy stwierdza. Oto np. piękny obrazek z idylii VII:

Szliśmy do Frazydama domu, gdzie czekały
Nas łoża wiklinowe; tam w świeżej pościeli
Z winorośli i sita legli[illegible]y weseli:
Nad głową nam topole i wiązy szumiały,
Blisko nas szemrał strumyk, płynący z pod skały
Przez świętą Muz pieczarę; w ciemnych krzach pod
Szare koniki polne nieustannym śpiewem [drzewem
Kłóciły się zawzięcie; dalej, na dolinie
Zielona żaba w gęstej rechtała jeżynie,
Śpiewały szczygły, czyże, turkawki jęczały,
I pstre pszczoły się snuły nad wodną przęstrzenią:
Wszystko tam żyznem latem tchnęło i jesienią.
U stóp mieliśmy gruszki, po bokach stos cały
Zsypanych jabłek; w sadach znowu ciężkie brzemię
Śliwek wszystkie gałęzie chyliło na ziemię.

* Bez duszy. Napisała Cecylia Walewska. Warszawa, 1901. Nakładem księgarni Paprockiego i S-ki. Kobietą „bez duszy„ jest niejaka pani Nuna (?!) Zarzecka, która sprzykrzywszy sobie pożycie z poczciwym i kochającym ją filistrem, rozwodzi się z nim, rzuca dom i dwoje dzieci, targa więzy wszelkich obowiązków i sprzedaje się bogatemu Zarzeckiemu. Zostawszy jego żoną, oddaje się fali zabaw, króluje na balach, włóczy się po miejscach kąpielowych, aż wreszcie ogarnia ją nuda i przesyt. Budzi się w niej z całą siłą wstręt do męża, dokoła siebie czuje pustkę i teraz dopiero zaczyna przeczuwać, że po za tym światem, który ją dotąd całkowicie pochłaniał, istnieje jeszcze świat inny, całe niezmierzone państwo duszy. W takich warunkach los stawia na jej drodze mistyka i symbolistę, sławnego malarza Nordena. Nuna pozuje mu do obrazu i między dwojgiem ludzi zadzierżga się nić tajemniczej sympatyi. Norden, skazany na śmierć suchotnik, wywiera na piękną lalkę wpływ magiczny i pociąga ją ku sobie, a ona bezwiednie idzie za nim, jakby prowadzona jakąś potęgą zaświatową. „Umierającemu niczego się nie odmawia“, twierdzi malarz i uwodzi ją potajemnie na samotną wyspę, gdzie w chacie rybackiej zaczyna się melancholijne konanie biednego skazańca i powolne a tragiczne budzenie się duszy w kobiecie, poniewieranej, a kochającej na prawdę po raz pierwszy w życiu. Na ostatnich kartach książki Norden umiera i zostawia Numie cały, ogromny swój majątek. Obudzona dusza wie już jak go użyć. Nuna wstępuje na drogę ekspiacyi i staje do czynu, „a niebo, słońce i morze mówią jej, że wytrwa“. Taka jest treść powieści ze szlachetną tendencyą podniesienia bólu do roli pierwszorzędnego czynnika w świadomem życiu duchowem człowieka. Powieść pisana jest ze zwykłą u p. Walewskiej rutyną. Po za tem brak jej wykończenia artystycznego i tego subtelnego wycieniowania szczegółów analizy psychologicznej, które są nieodłączną cechą prawdziwego dzieła sztuki. Natomiast jest w utworze pani Walewskiej dużo życia i zręcznej obserwacyi.

Muzyka i sztuki piękne.

* Nagi Wiktor Hugo. Z Paryża donoszą: P[illegible]g Wiktora Hugo dłuta Rodin'a w Salonie „Towarzystwa narodowego“ *(Société nationale)* budzi powszechne zdziwienie; wszyscy zapytują siebie dlaczego głośny rzeźbiarz przedstawił wielkiego poetę zupełnie o[illegible]żonego, tak, jak niegdyś przedstawiono bogów Grecyi i Rz[illegible]u. Niepier[illegible] to jednak raz rzeźbiarz przedstawia w ten spos[illegible]b autora „Nędzników“. Gdy komitet pomnika Wiktora Hugo rozpisał konkurs, Falguière, jeden z najsłynniejszych nowoczesnych rzeźbiarzy francuskich, wyobraził poetę obnażonego, z lirą w ręku, z wawrzynem na czole, siedzącego na Pegazie. Komitet projektu tego nie przyjął. Szczególny to istotnie zbieg okoliczności, że dwaj artyści, tak różni w dziełach swoich, spotkali się w pomyśle przedstawienia Wiktora Hugo obnażonego.

* Ośmdziesięcioletnia dziś staruszka, niegdyś znakomita artystka dramatyczna włoska, Adelaida Ristori, z pierwszego męża margrabina Capranica dell Grillo, wychodzi obecnie powtórnie zamąż, za senatora Casana, mera miasta Turynu. Pan młody jest o dwadzieścia lat młodszy od panny młodej, liczy bowiem około 60 wiosen. Zaręczyny zostały już oficyalnie ogłoszone.

Adelaida Ristori urodziła się we Włoszech w miejscowości Cividale w r. 1821. Jest córką drugorzędnych aktorów, a jako prawdziwe dziecko teatralne, już w czwartym roku życia występowała na deskach scenicznych w maleńkich rolach dziecięcych, w rozmaitych melodramatach. Kiedy podrosła nieco, znajdowano z początku, że nie ma talentu, pozwolono więc jej tylko być figurantką. Ale niebawem przekonano się, że w tem popychadle teatralnem siedzi olbrzymi talent. Jakoż pomiędzy rokiem 1845 a 1865 i jeszcze nieco później, uchodziła Ristori za pierwszą współczesną artystkę tragiczną w Europie — i słusznie. Siła, temperament, głos, piękna postawa i giest wspaniały przy niezwykłej inteligencyi, usprawiedliwiały w zupełności sławę jakiej zażywała. Jako Antygona, Franciszka z Rimini, Marya Stuart, Medea, Fedra itd. nie miała równej sobie. Podróże jej artystyczne w tej epoce były tryumfalnymi pochodami po Europie.

Oddawna już ustąpiła Ristori, syta sławy, z desek teatralnych i żyła cicho w swej willi. Zdawało się, że staruszka, straciwszy męża, nie zechce już wyjść z ukrycia i w spokoju końca życia oczekiwać będzie. Zaręczyny i bliski ślub w tak nadzwyczajnych okolicznościach wydobyły ją znów z cieniów — jeżeli nie zupełnego zapomnienia, to przynajmniej z zadawnienia pamięci, koniecznego w tych razach.

* Donoszą iż kijowski Salon Artystyczny zamknął swój sezon w Kijowie i bogatą swoją wystawę obrazów wysłał na lato w podróż po wybitniejszych miastach Rosyi Południowej. W dniu 1 b. m. Salon kijowski otworzył na sześć tygodni wystawę w Charkowie, w gmachu klubu szlacheckiego. Po raz pierwszy Charków, dzięki Salonowi kijowskiemu, ujrzał w swoich murach obrazy artystów polskich. Nigdy dotychczas sztuka polska nie zajrzała do stolicy Ukrainy zadnieprzańskiej. A pierwsza ta wystawa, przyznać trzeba, przedstawia się wspaniale. Przedewszystkiem zwraca uwagę olbrzymie płótno ś. p. prof. Wojciecha Gersona pod tyt. „Wjazd Kazimierza Sprawiedliwego do Krakowa“, które tu wzbudza ogólny zachwyt i podobno ma znaleźć nabywcę w osobie jednego z milionerów węglowych. Nast[illegible]pnie widzimy tu świetne prace: Żmurki, Kozakiewicza, Ruszczyca, Stabrowskiego, Rybkowskiego, Reyznera, Wywiórskiego, Biernackiej, Strejnowskiego, Stachiewicza, Okuńskiego, Wrzeszcza, Galińskiego, K. Wierusza-Kowalskiego, Popowskiego, Rapackiego, Piątkowskiego, Michała hr. Tyszkiewicza, Mazurowskiego, Jodko-Narkiewiczowej, Kruszewskiego, Przyszychowskiego, Kazanowskiego, Szwoynickiego, Nałęcza, prof. Aksentowicza, Popiela, Batowskiego, Dębickiego, Weina, Augustynowicza, Cieślewskiego, Suchowieckiej, Kanigowskiej, Jankowskiego, Per[illegible]skiego, Kostrzewskiego, Mikulskiej i innych. Prasa charkows[illegible] tej pierwszej wystawie polskiej odzywa się z wielkiem uznaniem. Salon kijowski, oprócz Charkowa, w ciągu letnich miesięcy, odpowiedzi: Ekaterynosław, Rostów nad Donem, Odesę; w sierpniu urządzi niewielkie wystawy w Winnicy, Berdyczowie i Mińsku (w czasie tamtejszych wystaw rolniczych), zaś we wrześniu otworzy na nowo sezon w Kijowie.

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: Kazimierz Ehrenberg.